

Zbrodnia rozpisana na nuty

W filmie „Popiełuszko”, który jutro debiutuje w kinach, zagrała własną matkę. O podarkach od księdza Jerzego, paczkach do interny i łobuzach z podwórka Joanna Szczepkowska opowiada Magdalenie Rigamonti

Czy Adam Woronowicz w roli księdza Popiełuszki sprostął zadaniu? Pytam, bo znała Pani księdza Jerzego.

Nie tylko sprostął. On był księdzem Jerzym. Kiedy przyjechałam na plan do kościoła św. Stanisława Kostki, w którym było pełno ludzi z ekipy, wszędzie były porozkładane kable – i nagle go zobaczyłam. Stał obok ołtarza. Mówiliśmy sobie po imieniu, więc mogę powiedzieć, że zobaczyłam Jurka. To oczywiście był Adam Woronowicz, z którego emanował ten sam rodzaj skupienia, podobna duchowość. Przyjaźniłam się z księdzem Popiełuszką. Prawie każdej niedzieli bywał u moich rodziców w domu. Przychodził też do mnie.

Jak Pani go wspomina?

Był ciągle w biegu. Widzę, jak w pośpiechu zapina sutannę i biegnie. Miał na głowie masę spraw. Jednak 20 minut przed mszą koncentrował się na modlitwie. Miał zamknięte oczy, stał nieruchomo ze złożonymi rękami i nie było do niego dostępu. W tym stanie skupienia zobaczyłam Adama – wtedy w kościele.

Wzruszyła się Pani?

Prawdę mówiąc, kolana się

pode mną ugięły. Wie pani, trudno mi o tym mówić. Przy okazji takiego filmu można być podejrzanym o egzaltację czy niepotrzebne emocje. Nie boję się tego, bo na Adama przy pracy nad tym filmem ludzie reagowali niesamowicie. Śmierć księdza Jerzego była dla mnie przeżyciem bardzo osobistym. W takich chwilach marzysz, by to nie była prawda, żeby ten człowiek stanął przed nami i był, i żył. Adam sprawił, że tak się stało. Myślę, że ksiądz Jerzy mu w tym pomógł.

Czy ksiądz Jerzy zasłużył na beatyfikację?

Za mało wiem, co jest do tego konieczne. Ale tak czy inaczej jest męczennikiem i postacią, która wrosła w naszą historię. Nie zniknie z ludzkiej świadomości. Odkąd zginął, modłę się do niego. To dla mnie oczywiste, że jest duchem sprawczym, łącznikiem między Bogiem a nami.

Dużo spraw Pani załatwił?

To bardzo różne sprawy, czasem bagatelne i wiem, że nie jestem jedyna. Mówię sobie: „Pomodłę się do Jurka i będzie dobrze”. On ma tam dużo pracy.

Jakie były wasze relacje?

Przyjacielsko-rodzinne. Często wspominam ostatnie nasze spotkanie, wstrząsającą rozmowę miesiąc przed jego śmiercią. Zadzwoiła do mnie jakaś kobieta z Nowego Sącza i zapytała, czy mogłabym poprosić księdza Jerzego o to, żeby przyjechał do kościoła do Nowego Sącza. Oczywiście poszłam do niego, a on mi odpowiedział, że prosi o list



FOT. GRZEGORZ MEHRING

„Władza dziwnie szczodrze informowała o śmierci księdza” – mówi Joanna Szczepkowska

od księdza z tamtejszej parafii. Bał się, że to jakaś mistyfikacja. Powiedział: „Nie mogę już tak jeździć”, i był w tym rodzaj zawstydzenia. Żył już wtedy w ogromnym zagrożeniu.

Zbrodnia rozpisana na nuty, a nie morderczy impuls?

Od początku wiedzieliśmy, że należy podważyć wszystko, co mówiono oficjalnie. Władza dziwnie szczodrze informowała o śmierci księdza, a później o sprawcach. Tego rodzaju domniemanie pojawiły się od razu po morderstwie.

Czy Pani matka namawiała go na wyjazd do Rzymu?

Nie, chociaż zdawała sobie sprawę z zagrożenia. Dla niej bardzo ważne było to, co ksiądz Jerzy robił w Polsce. Po jego śmierci straciła pigment w rękach – miała zupełnie białe dłonie. Pamiętam słowa: „Czy on się męczył...”. Chroniłam ją przed fotografiami, na których widać zmasakrowane ciało. Sama długo tchórzyłam przed ich obejrzeniem, choć jestem osobą, która stara się zaglądać cierpieniu w twarz. Dopiero kiedy powstało Muzeum księdza Jerzego,

odważyłam się pójść tam i te zdjęcia zobaczyć.

Nie bała się Pani udziału w filmie?

Bałam się samego filmu. Obawiałam się, że może być pretensjonalny, pomnikowy, zbyt sentymentalny jak na dzisiejszą percepcję. Że stanie się obiektem politycznych walk. Na szczęście wyszło dobre kino i obawy zniknęły.

Na początku zdjęć Pani mama jeszcze żyła. Jak przyjęła wieść, że będzie jedną z bohaterek fabuły?

Najpierw z dystansem. Ale gdy poznała reżysera, po kilku rozmowach była spokojna.

Udzieliła córce wskazówek, jak ma zagrać własną matkę?

Powiem szczerze, że mało o tym rozmawialiśmy. Raczej śmiałyśmy się z tego.

Czy to było dla Pani trudne zadanie aktorskie?

Zaczęto się od charakteryzacji. Mama nie przykładła wielkiej wagi do strojów, w pośpiechu zajmowała się sobą. Kiedy weszłam na plan w peruce i trochę pogrubiona, koledzy, którzy ją znali, zakrzyknęli: „Roma”. A więc fizycznie udało mi się przeistoczyć w mamę, jednak uważam, że powinien o niej powstać oddzielny film. To była osoba szczególnie emocjonalnie i starałam się to przemycić. Była dla księdza Jerzego trochę starszą siostrą, a trochę matką. Widywali się prawie codziennie, znali się doskonale. Uwielbiała go za to, że wszystkich traktował tak samo. Na żoliborską plebanię przychodzili i wielcy artyści, i hutnicy. Dla niego nie miało znaczenia, kim byli. Nie bardzo się orientował, kto jest kim

w kulturze, a od wieszczów wolał prostą amatorską poezję.

Co sądził o aktorach?

Nie wiem. Na pewno nie lubił popisywania się recytacją. Na msze za ojczyznę chętniej zapraszał tych, którzy mówili, a nie recytowali z emfazą.

Interesował się Pani życiem zawodowym?

Nie. Bardziej zajmowało go nasze życie rodzinne. Moje córki były małe i zawsze starał się im przynosić jakieś drobne zabawki. Pamiętam, jak byłam z córkami w parku Krasieńskich i zobaczyłam go biegnącego z odpustowymi zabawkami w rękach. Chyba potrzebował kontaktu z rodziną.

Dlaczego Pani mama zaangażowała się w pracę z księdzem Popiełuszką?

Bo była przejęta sprawami kraju. To ona uczyła mnie prawdziwej historii, to ona uświadamiała mnie o rzeczywistej sytuacji politycznej. I na swój sposób zawsze walczyła.

Spełniała się w tej walce?

Chciała mieć dużo dzieci, a mogła mieć tylko jedno – mnie. Dlatego jej życie kręciło się wokół różnych urwisów podwórkowych. Mną się nudziła, bo byłam grzeczna, a ona potrzebowała wyzwania. Wielu dawnych łobuzów uważa, że odmieniła ich życie. Kiedy wyszła za ojca, to ustalili, czy raczej on ustalił, że będzie się zajmowała domem. To było sprzeczne z jej temperamentem, zwłaszcza że nie miała gromady dzieci. Gdy zaczął się stan wojenny, od razu zgłosiła się do pakowania paczek dla internowanych. Ot, i paradoks: twierdziła, że to był najszcześniejszy okres w jej życiu. Zresztą wywalili ją z tego pakowania, bo nie umiała się dostosować. Miała swoje pomysły na to, do kogo powinny trafiać paczki, kto jest najbardziej potrzebujący. Ona się po prostu nie nadawała do instytucji.

Tę awersję chyba Pani po niej odziedziczyła?

Tak, chociaż na polu artystycznym to raczej typowe. Artyści rzadko nadają się do instytucji.

Założyła Pani swój teatr?

Ideąłem byłaby jakaś moja przestrzeń, ale chyba po prostu jest nią literatura. Moje książki są moim teatrem.

A co z filmem?

Cały czas czekam na obiecaną rolę Marii Curie-Skłodowskiej. Negocjacje na temat tego filmu trwają dobrych kilka lat, a ja już mogę wygrać wszystkie konkursy dotyczące wiedzy o tej niezwykłej kobiecie.

A inne marzenia?

Są tajemnicą. Zna je między innymi ksiądz Jerzy.